

KONIEC GRY

ANNA ONICHIMOWSKA



Anna Onichimowska

Koniec gry

© by Anna Onichimowska
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Sylwia Szyszeń
Korekta: Lidia Kowalczyk, Aleksandra Różanek

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-407-2

Wydawnictwo **Literatura**, Łódź 2016
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wyd-literatura.com.pl
tel. (42) 630-23-81
faks (42) 632-30-24
www.wyd-literatura.com.pl

Zginął kolejny polski żołnierz na Bliskim Wschodzie” – przelatuję tekst nieuważnym wzrokiem. Dopiero moje nazwisko wypisane drukowanymi literami powoduje, że notatka przestaje być prasowym komunikatem, a staje się nekrologiem. „Kapral, 26 lat, poległ podczas akcji”.

Wyobrażam sobie matkę i ojca na tyle, ile mogę – nie widzieliśmy się osiem lat z okładem, na pewno już wiedzą... To, że mnie nie zawiadomili, jest w zasadzie logiczne, ale dlaczego nie Julka?... Łączę się z siostrą. Jej głos drży. Nie wiem, czy z powodu utraty, czy mało komfortowej dla niej sytuacji.

– Dopiero dzisiaj przylatuje ciało... – próbuje się tłumaczyć.
– Uważasz, że powinnam od razu zadzwonić, tak? – Jej pytanie brzmi rozczulająco bezradnie.

Pewnie skubie niewidzialne skórki wokół paznokci. Zawsze tak robiła w chwilach zakłopotania.

– Nie wiem... – mimowolnie zerkam na zegarek, jestem już spóźniony.

– Wybierasz się na pogrzeb?

– A jak myślisz? – odpowiadam pytaniem na pytanie. Teraz to ona mówi „nie wiem”. Nie klei nam się ta rozmowa, trudno, żeby było inaczej. Obiecuje, że zawiadomi o terminie.

Wchodzę do biura. Plecy pochylonego nad komputerem Jarca, sterty katalogów, plakaty. Wciągam zapach mojego królestwa, który zawsze kojarzy mi się z obietnicą dalekich podróży.

– Cześć! – Jarek nie odwraca się od monitora. – Mamy komplet na Jordanię...

– To super!

Też tam muszę kiedyś polecieć – przelatuje mi przez głowę. A chwilę potem, że nawet nie wiem dokładnie, gdzie zginął mój brat. Jakby akurat to było ważne.

Odzywa się telefon, cztery osoby chętne na Goa. To stali klienci, więc gadamy dłużej niż to konieczne.

– Stało się coś? – Jarek przygląda mi się uważnie. Skończyłem już rozmowę, zabieram się do sczytywania katalogu przed drukarnią – codzienna rutyna, nieustannie dająca mi radość.

Musisz mnie dobrze znać – myślę, zastanawiając się, jak ubrać w słowa wiadomość, którą mam mu przekazać.

– Zginął mój brat bliźniak – mówię wreszcie i wstawiam w tekst o wyspie Mykonos brakujący przecinek. Zawsze czytam teksty po korekcie, zasada ograniczonego zaufania.

– Nie wiedziałem, że masz brata... Miałeś... Bardzo mi przykro... – Czuję jego dłonie na swoich ramionach. Tylko nie to, współczucie jest tutaj nie na miejscu.

Wstaję gwałtownie.

– To bez znaczenia – kłamię. Bo bardzo bym chciał, żeby tak było, ale jednak nie jest. – Nie widywaliśmy się. Jestem po prostu... oszołomiony – wrzuszam ramionami i włączam czajnik.

– Napijesz się herbaty?

* * *

Zamówiłem pokazną wiązaną z białych kalii. Wydawały mi się wystarczająco bezosobowe, a jednocześnie drapieżne. Na szarfię chciałem wpierw umieścić napis „Andrzejowi – od brata”, w końcu jednak zrezygnowałem ze wstęgi.

Przyjechałem z półgodzinnym wyprzedzeniem, ale nie wysiadłem z samochodu, nim wszyscy, których zachowanie mogłoby mnie dotknąć, nie weszli do kościoła. Spotkaliśmy się wzrokiem dopiero wówczas, gdy położyłem kwiaty i odwróciłem się od trumny. Zgodnie z przemyślanym wcześniej scenariuszem podszedłem najpierw do matki. Pocałowałem ją w rękę, a potem uściśnąłem dłoń ojca, zanim zdążył ją cofnąć. Być może zresztą nie miał takiego zamiaru, a to, że wzdrygnął się na mój dotyk, spowodowane było szokiem, że mnie widzi.

W ostatniej drodze towarzyszyła Andrzejowi orkiestra wojskowa, były słowa o męstwie, bohaterstwie i śmierci w słusznej sprawie.

– Jesteś zaproszony na stypę – szepnęła Julka, stając obok.

Tego nie przewidziałem w scenariuszu.

– To chyba nie jest dobry pomysł – skrzywiłem się.

Wyobraziłem sobie natychmiast długi stół w knajpie z siedzącymi po obu stronach żałobnikami, gdzie po poprzedniej imprezie nie zdążono odczepić balonów. Ciekawe, jak takie balony się przechowuje. Czy wypuszcza się z nich powietrze, czy też – aby nie nadmuchiwać ich ponownie – czekają grube i nadęte na kolejną okazję? A jeśli tak, to gdzie się je upycha?

– Myślałam, że chcesz się z nimi pogodzić. – Do rzeczywistości przywrócił mnie głos siostry.

Jakbym kiedykolwiek się pokłócił. Zabrzmiały mi w uszach słowa ojca, które pielęgnowałem w pamięci. A może to one przyczepiły się do mnie, niechciane: „Możesz tu mieszkać do osiemnastki. Ani dnia dłużej”.

Roześmiałem się. Jakaś pańcia obejrzała się oburzona.

Nagle ciekawość, jak to będzie przy wspólnym stole, wzięła górę nad niechęcią.

– Gdzie to ma być? – spytałem.

– W domu...

Grabarze zasypywali już trumnę.

W ogrodzie na miejscu starej gruszy stał pień, kwiaty rosły po swojemu, przebijając się siłą woli przez chwasty. Matka trochę utyla, ojciec wyraźnie się postarzał. Przy stole zasiedli również – oprócz Julki z mężem i synkiem, którego zresztą zaraz położyli spać – najbliżsi sąsiedzi i dwie ciotki. Przynajmniej jedna z nich wyraźnie nie była na bieżąco, ponieważ kilka z jej skierowanych w moją stronę pytań wzbudziło ogólną konsternację. Ojciec grał ze mną w niewidzialnego człowieka, matka podsuwała sałatki. Z siedzącym obok szwagrem, Grześkiem, gawędziliśmy o wyższości plaż meksykańskich nad australijskimi i o tym, gdzie najlepiej załamują się fale – był zapalonym surferem.

– Za Andrzeja! Naszego bohaterskiego syna! – usłyszałem.

Ojciec stał, wznosząc do góry kieliszek z wódką.

– Niech spoczywa w pokoju... – dodała matka.

Symbolicznie umoczyłem usta. Ojciec wypił, a potem spojrział na mnie z pogardą.

– Jestem samochodem – rzuciłem, zanim się odezwał.

– Możesz zanocować – wtrąciła ciotka.

– Nie mogę – mimowolnie uśmiechnąłem się. Słowa miały podwójne znaczenie, czytelne tylko dla niektórych osób przy tym stole.

– Chodźmy zapalić... – Julka zerwała się, patrząc na mnie błagalnie.

W obawie, że za chwilę dołączą do nas inni, oddaliliśmy się na bezpieczną odległość. Po chwili wahania wyciągnąłem fajkę z paczki, którą mi podsunęła. Ostatnio paliłem z pół roku temu i uważałem, że mam to już z głowy, ale byłem jej wdzięczny, że coś wymyśliła.

– To twoje, prawda? – wysunęła z torby dwa grube bruliony, o których istnieniu usilnie próbowałem zapomnieć przez ostatnich osiem lat. – Nie czytałam – dodała spieszenie. – Oprócz kilku zdań.

– Skąd...? – rozłożyłem ręce. Popiół z niechcianego papierosa posypał się na koniczynę.

– Szukałam ubrania do trumny, porządkowałam jego pokój. No i miał to, schowane...

Wyobraziłem sobie Andrzeja pogrążonego w lekturze moich najintymniejszych zapisków i zrobiło mi się niedobrze.

– Nie wiedziałaś... wcześniej... że to ma? – spojrzałem na nią uważnie. – Nie czytał rodzinie przy kolacji co ciekawszych fragmentów?

– Nie czytał.

Nie wiem, jak to się stało, że spakowałem skarpetki i starą bluzę, a zapomniałem zapisków.

– Co się stało z resztą moich rzeczy? – spytałem.

– Pamiętam, że Andrzej upychał je do plastikowych worków i wrzucał na strych. Kto wie, czy wciąż tam nie leżą... Zależało mu na własnym pokoju i od razu zagospodarował go po swojemu.

Nigdy nie umiałem zapanować nad wyobraźnią, zdawała się bytem niezależnym ode mnie – takim, nad którym nie mam kontroli. Ni stąd, ni zowąd pojawiały się w moim umyśle, a może przed oczami – sam nie wiem, które określenie jest trafniejsze – fantomy pewnych sytuacji, na tyle plastyczne, że potem zdarzało mi się mylić je z rzeczywistością. Wierzyć, że faktycznie miały miejsce. To bywało groźne, linia oddzielająca fakty od wiźji powinna być gruba i wyraźna. Powinna, ale u mnie nie była.

Wtedy wyobraziłem sobie natychmiast, jak mój brat zdziera ze ściany plakat z wodospadami Iguaçu i na jego miejsce wieszka kolejną agitkę Młodzieży Wszechpolskiej.

To logiczne, każdy otacza się symbolami, które są mu bliskie. Też pewnie bym tak zrobił – pomyślałem. I nie dam głowy, że powstrzymałbym się przed czytaniem jego pamiętnika. O ile by mnie zainteresował. Ale to, że wciąż go miał, głęboko ukryty, stanowiło dla mnie zagadkę. Równie tajemniczą jak ta, że go nie upublicznił.

– Wasza osiemnastka... to był okropny dzień. Wstydzę się, że niczego nie zrobiłam. Powinłam...

– Daj spokój... – zasypałem szczątki papierosa, widząc kątem oka, jak zmierza ku nam szwagier z zaspanym Luckiem na ręku. – Miałaś wtedy inne kłopoty.

– Kawa czy herbata? – spytał Grzesiek, a Lucek wyrwał mu się i podbiegł do Julki.

– Muszę pomóc matce... – wręczyła mi zeszyty.

– Wrzucę do samochodu – ruszyłem ku bramie.

– Ja też chcę do samochodu wujka! – usłyszałem za plecami.

Miałem zielony sportowy wóz z rozsuwanym dachem. Niezły bajer.

– Okej – odwróciłem się, biorąc małego za rękę. – Dla mnie kawa... – mrugnąłem na odchodnym do Grześka.

Nie spieszyło mi się z powrotem, Lucek był dobrym pretekstem, aby jak najdłużej być poza zasięgiem. Wrzuciłem zapiski do bagażnika, a potem pozwoliłem mu posiedzieć za kierownicą. W przerwach między odgłosami, które miały imitować silnik, miał mi sporo do opowiedzenia i było to dużo ciekawsze od kwestii padających przy stole. Nagle zauważyłem biegnącą w naszym kierunku matkę. Otworzyłem okno.

– Stało się coś? – spytałem, gdy już mogła mnie usłyszeć.

– Chodź, Lucusiu... Babcia da ci ciasteczko... – walczyła z drzwiami po stronie kierowcy, które mały sprytnie zdążył zablokować.

Nie chce zostawiać mnie z nim samego – pomyślałem, przekazując protestującego głośno malca babci.

– Do widzenia, mamó – podjąłem nagłą decyzję. – Proszę ode mnie wszystkich pożegnać.

– A... kawa? – spytała bezradnie.

– Innym razem... – spontanicznie wyjąłem swoją wizytówkę i jej wcisnąłem. – A to, gdyby miała mama ochotę się ze mną skontaktować. Cześć, Lucek! – rzuciłem, zapalając motor.

Widziałem we wstecznym, jak mi macha, zanim nie zniknąłem za zakrętem.

* * *

Nie minęło więcej niż piętnaście minut, gdy zobaczyłem niewielki budynek z szyldem: „Restauracja. Motel”. Na podjeździe stało zaparkowanych kilka samochodów. Po chwili stałem obok. Czułem wewnętrzny przymus, aby znaleźć się w jakimś bezosobowym miejscu, sam na sam z zeszytami, które tykały jak bomba w moim bagażniku. Zawsze woziłem z sobą w niewielkiej torbie kosmetyki i ubrania na zmianę. Przewornie zawsze ubezpieczony...

Za barem stała dziewczyna wykonująca jednocześnie pracę recepcjonistki.

– Macie wolne pokoje?

Pokiwała głową, podając mi klucz.

– Chce pan najpierw zobaczyć?

– Tak...

Wyjaśniła, jak trafić. Pokój był czysty, łazienka także, okna wychodziły na zieloną stronę. Telewizor stał na zabudowanej lodowce. Włączyłem ją do prądu i zszedłem na dół.

– Biorę – wyjąłem dowód.

– Jedna osoba?

– Tak.

– Na jak długo?

Mimo że pytanie było oczywiste i nie przewidywałem dłuższego postoj, jakoś wytrąciło mnie z równowagi.

– Prawdopodobnie na dobę...

– Ma pan ochotę coś zjeść?

– Nie. Ale proszę przynieść mi do pokoju pół litra finlandii, dużą butelkę mineralnej bez gazu i espresso.

– Żadnej zakąski?

Już mnie zaklasyfikowała – pomyślałem z rozbawieniem. Alkoholik samotnie zalewający robaka.

– Parking jest strzeżony? – upewniłem się, ignorując jej pytanie.

Przytaknęła.

* * *

Wystukałem esemesa: „Nie wrócę dzisiaj, nie czekaj. Całuję”. Odpowiedź nadeszła jednocześnie z zamówionymi napojami. Wódkę schowałem do lodówki. Nie byłem pewien, czy po nią sięgnę, ale wolałem mieć na wszelki wypadek. Espresso objętości naparstka budziło wątpliwości, czy wkrótce nie będę miał ochoty na następne.

Upewniłem się, do której jest otwarty bar, po czym wyciągnąłem się na łóżku. Obok mnie leżał notes numer jeden. Przypomniało mi się, że dostałem go w prezencie od Julki, razem z jakąś książką. Zacząłem go zapełniać swoim koślawym piśmem po siedemnastych urodzinach. Może gdyby nie prowokująco puste strony, nigdy nie zacząłbym prowadzić żadnych notatek?

Od pierwszej kartki poraziła mnie nieporadność jednych sformułowań, sąsiadująca z wyjątkową dojrzałością innych. Jakby w moim nastoletnim ciele mieszkał jednocześnie chłopiec i mężczyzna. Niektóre strony czytałem po kilka razy, inne przelatywałem niecierpliwie wzrokiem. Przełomowy rok mojego życia... Szukałem odpowiedzi. Czy miałem kiedykolwiek szansę na bycie kimś innym?

ROZDZIAŁ I

Trochę o rodzinie, ale przede wszystkim o Kaśce

Zawsze dostawaliśmy z Andrzejem takie same prezenty. Jeśli były to ciuchy, zwykle różniły się kolorami. No i wielkością. Ciekawe, czy od małego był dwa razy większy, silniejszy i bardziej wrzaskliwy ode mnie. Czy od razu taki się urodził. Chciałem nawet spytać o to matkę, ale jakoś nigdy nie było okazji. Czasami wyobrażałem sobie, jak pływamy w jej brzuchu, ciasno zawinięci w siebie, a on próbuje mnie stamtąd wykopać. Pewnie dlatego pojawiłem się na świecie pierwszy. Pół godziny przed nim.

Na siedemnastkę ojciec przywiózł nam z trasy jakieś koszmarnie bluzy. Udawaliśmy zadowolonych, żeby nie było mu przykro. A może żeby nie sprowokować awantury? Jego pobyty w domu zmieniały zachowania nas wszystkich. Każdy po swojemu schodził mu z drogi.

Odświętna kolacja była fiaskiem. Nie spodziewaliśmy się zresztą, że będzie inaczej.

Jedliśmy ulubioną potrawę ojca – faszerowane kurczaki. Chciał pewnie być miły. Nie wiedział, o czym i jak z nami rozmawiać. Teraz myślę, że pytał uparcie o to samo z bezradności, a nie z sadyzmu.

- No i jak tam w szkole? – zagadnął po swojemu.
- Spoko... – Andrzej pokiwał skwapliwie wygoloną głową.
- U mnie też – rzuciłem spiesznie.

Może zbyt spiesznie, może zabrzmiało to jak odpowiedź na odczepnego, bo natychmiast ściągnąłem na siebie jego uwagę.

– Co też? – przygwoździł mnie wzrokiem, nalewając sobie żywca. Upił trochę, wznosząc do góry szklankę. – Wasze zdrowie, chłopaki! No, opowiadaj... – ponagłał.

Rozpaczliwie szukałem bezpiecznego tematu. Bąknąłem coś o świadectwie, że będzie dobre.

– To już matura, tak? – spytał.

Nigdy nie wiedział, w której jesteśmy klasie.

– Teraz zdaje Julka... – przypomniałem cierpliwie. Miałem nadzieję odwrócić od siebie uwagę, ale na próżno. Wciąż patrzył na mnie.

– A co chciałbyś robić w życiu?

To było coś nowego. Rozmowa na zasadniczy temat. Z ojcem. Nie to, że z mamą gawędziliśmy o poważnych sprawach, ale pewnie zaskoczyłoby nas to mniej. Skrzyżowaliśmy w panice spojrzenia.

– Nie wiem... – zawahałem się. Miałem kilka pomysłów, ale uważałem, że za wcześnie, aby się nimi dzielić. Szczególnie z nim. – Lubię geografii i języki.

– Uczysz się niemieckiego?

Często miewał kursy do Niemiec i pewnie dlatego uważał, że znajomość akurat tego języka to okno na świat.

– Może później. Na razie angielski i francuski.

– Parlewufranse? – zaśmiał się, dumny, że mógł zaszpanować. – No i co z tym chcesz robić?

Poczułem pod stołem porozumiewawcze kopnięcie. To musiała być Julka. Podsunęła ojcu półmisek z mięsem. Był na nim ostatni kawałek kurczaka. Zawahał się, przenosząc na mnie pytające spojrzenie.

– Złożę papiery na kilka kierunków, zobaczymy... – wzruszyłem ramionami.

– A pytałeś, czy możemy cię jeszcze utrzymywać podczas studiów? Czy nas na to stać? No to odpowiem ci bez pytania: nie stać! Dotyczy to zresztą was wszystkich... – omiół wzrokiem całą naszą trójkę, po czym spojrzał na matkę. – Chyba dobrze mówię? – i potrząsnął wymownie puszką po piwie, w której nic już nie chlupotało.

Może gdyby nie ta rozmowa, znacznie później stałbym się dorosły. Cokolwiek to słowo nie znaczy. Ale wtedy uświadomiłem sobie wyraźnie, że mogę liczyć tylko na siebie. Do matury miałem jeszcze półtora roku. W gorszej sytuacji była Julka. Pamiętam jej spłoszony grymas.

– Damy wam dach nad głową, do innych wydatków będziecie się dokładać. Macie pecha, nie jestem Rockefellerem.

Faktycznie, nie był. Rozwoził jogurty tirem. Matka pracowała jako kasjerka w banku. Pewnie dzięki temu, że umiała liczyć, do pierwszego starczało.

Julka – jako jedyna – miała swój azyl. Rodzice sypiali w telewizyjnym, nasz pokój przedzieliliśmy szafą na pół.

Bywają osoby, które nie zabierają innym przestrzeni ani powietrza, a są tacy, przy których trudno się zmieścić nawet w przestronnym pokoju bez wciągania brzucha. Andrzej należał z pewnością do tej drugiej kategorii. Ojciec też. Kiedy przyjeżdżał, nikt nigdy nas nie odwiedzał. Po prostu nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby zapraszać znajomych.

* * *

To było parę miesięcy później, wiosną. Pamiętam ten dzień wyraźnie. Julka wróciła ze szkoły z Kaśką – uosobieniem doskonałości. Moją prywatną Wenus. Widząc je przez okno, wypadłem z pokoju, udając, że czegoś szukam w sionce.

– Cześć... – Kaśka uśmiechnęła się do mnie. Mogłaby reklamować pastę do zębów.

Jeszcze skróciła włosy, następnym etapem mogła być tylko łysina. Spocily mi się dłonie. Dobrze, że nie wyciągnęła do mnie ręki na przywitanie.

Miała na sobie szorty i koszulkę – odważnie, biorąc pod uwagę temperaturę na zewnątrz. Wgapiałem się bezczelnie w jej długie opalone nogi w czerwonych trampkach.

– Wychodzisz? – spytała, a ja doszukałem się zaraz w jej głosie nuty żalu i umarłem ze szczęścia.

– Nie... Wydawało mi się, że słyszę mysz... – Trudno było wymyślić coś bardziej idiotycznego, by wytłumaczyć moją obecność w sionce, ale akurat to wpadło mi do głowy.

– Jeśli będziesz chciał, pożyczę ci Tigera. Łowny nieprzytomnie.

– Świetny pomysł! – zapaliłem się natychmiast. – Kiedy?

Wyobraziłem sobie, jak idziemy obok siebie we dwójkę – kot pewnie by się wyrywał, co dałoby wspaniałą okazję do bycia blisko nie tylko kota.

– Puknij się w głowę! Tuż obok masz trzy koty. Pożycz od sąsiadki – roześmiała się Julka.

Zniknęły, zostawiając mnie między kurtkami. Marzenia przysły, został zaduch butów i nieprzyjemne uczucie nierozładowanego napięcia.

Powłokłem się do kuchni. Była duża szansa, że zaraz tu przyjdą.

Przez zamknięte drzwi dobiegały ich śmiechy i strzępy rozmowy. Kilka razy padło imię „Kacper”. Sposób, w jaki Kasia je wymawiała, sprawił, że od razu go zniecierzyłem.

Wyobrażałem sobie, jak Kasia siedzi. Może po turecku? Wymachuje rękami, gestykulując zawzięcie. A może rozwalona na

kanapie, z przerzuconymi przez oparcie nogami? Albo leży na brzuchu, na chodniczku, machając stopami w swoich trampkach? Nigdy nie widziałem jej w innych butach. Nigdy też nie widziałem jej w sukience. W myślach ubierałem ją w różne stroje, aby zaraz potem pospiesznie rozebrać.

Drzwi ich pokoju otworzyły się tak nagle, że ledwie zdążyłem dopaść do lodówki.

– Jest coś do żarcia? – usłyszałem za sobą głos Julki.

– Właśnie sprawdzam... – starałem zachowywać się na luzie. – Pomidorowa. I ugotowany ryż.

– Podgrzejesz?

Poza tym były ziemniaki. I żółty ser.

– Mogę jeszcze zrobić *raclette* – zaproponowałem.

– Umiesz gotować? – Kasia przyglądała mi się z ciekawością.

– Jasne. Najlepszymi kucharzami są zwykle mężczyźni...

Tak naprawdę moja wiedza na ten temat ograniczała się do paru potraw.

– Jeśli chodzi o mnie, to innym razem... – pokręciła głową.

Oczywiście, że chodzi o ciebie – pomyślałem niecierpliwie. Jeśli myślisz, że bym się poświęcał dla rodziny, to grubo się mylisz.

– Może jutro? – spojrzała na mnie spod oka. – Będziemy przygotowywać się do matury z angielskiego. Podobno jesteś w tym dobry?

– W tym też... – wypiąłem dumnie pierś, a dziewczyny roześmiały się zgodnie.

Dolałem do zupy trochę wody, żeby starczyło dla wszystkich. Musiał się jeszcze załapać Andrzej i pewnie matka.

– Mama będzie późno... – rzuciła Julka, widząc moje zabiegi.

Jak zwykle kiedy nie ma ojca – zauważyłem. – Pewnie ma kogoś na boku – od jakiegoś czasu nie spieszyła się do domu. Stroiła się, zmieniała fryzurę, częściej się śmiała.

Kasia jadła szybko, zerkając na zegarek.

– Dokąd teraz biegniesz? – odważyłem się zapytać.

– Na siłownię – odpowiedziała za nią Julka.

– Muszę też się zapisać – palnąłem.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem, jakbym powiedział coś zabawnego, a mnie zrobiło się głupio.

– Dziękuję... – Kasia ruszyła z pustym talerzem do zlewu.

– Zostaw, pozmywam... – mruknąłem.

* * *

– Nie zdziwiłabym się, gdyby kogoś miała... – odparowała Julka, kiedy podzieliłem się z nią podejrzeniami wobec matki. – A ty?

Nie, byłem tylko ciekaw... Czasami zastanawiałem się, jaki był ojciec, kiedy za niego wyszła. Nie miałem złych wspomnień z dzieciństwa, więc może pogorszyło mu się z wiekiem. A może takiego sobie wybrała? Na dobre i złe.

– Trochę przegina – wzruszyłem ramionami. – Mogłaby czasami się urwać, ale tak codziennie?

Julka zmarszczyła brwi.

– Masz co jeść? Masz. Ktoś się ciebie czepia? Nie. Więc o co ci chodzi?

Ojciec się czepia – przebiegło mi przez głowę. I mimo że się czepia, nie wie nawet, w której jesteśmy klasie.

– Na przykład o Andrzeja – odpowiedziałem po chwili. – Powinna jakoś reagować, chyba nie jest ślepa?

Julka westchnęła.

– Mam nadzieję, że mu przejdzie... – rzuciła.

– Dzisiaj wypisywał głupoty na płocie domu, gdzie mieszkają Wietnamczycy. Był z łysolami w czarnych skórkach. Na ich widok wszyscy czmychali gdzie pieprz rośnie. – Chciałem do-

dać „wstydzę się, że jestem jego bratem”, ale wyznanie to wydało mi się zbyt intymne.

Jakbym wywołał go myślami. Trzasnęły drzwi i wyrósł na progu w towarzystwie pryszczatego kumpla.

– Zostawiliście coś dla nas? – spytał, zaglądnąwszy do garnka.

– Nędza... – rzucił w stronę kolesia, a potem otworzył pudełko z kasą na zakupy, opróżnił je i wyszli.

– Powiem matce – obiecała Julka, nie patrząc mi w oczy.

Nie wierzyłem, że to zrobi.

– Kasia ma rodzeństwo? – zmieniłem temat. Zresztą na taki, który interesował mnie nade wszystko.

– Nie – potrząsnęła głową i roześmiała się nieoczekiwanie.

– Ale ty się na nią gapisz... Pewnie bardziej jesteś ciekaw, czy ma chłopaka?

Zrobiło mi się gorąco. Poczułem, że się czerwienię.

– A ma? – wydukałem.

– Tak.

* * *

Starłem się o niej nie pamiętać tak usilnie, że w rezultacie nie byłem w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

Następnego dnia po szkole, zamiast zrobić im *raclette* i ewentualnie pomóc w angielskim, pojechałem do Warszawy. Włączyłem się bez celu po ulicach, wyobrażając sobie Kacpra. Sam nie wiem, czy wolałbym, żeby był bezmózgim mięśniakiem, czy też przemądrzałym intelektualistą, laureatem olimpiady z kilku przedmiotów naraz. Wolałbym, żeby po prostu nie istniał. Marzyłem, by zginął tragicznie, najlepiej tego samego wieczoru, aby po chwili ze wstydem ganić się za takie myśli.

Nogi same zaniósły mnie przed Łazienki, gdzie na ogrodzeniu wisiała jakaś wystawa. Nie mając nic lepszego do roboty,

zacząłem oglądać kolejne zdjęcia i szczęka opadła mi z wrażenia. To była ziemia fotografowana z góry. Czasem z ogromnych wysokości, czasem z helikoptera. Bywały zdjęcia przetworzone i realistyczne, pejzaże, ludzie i zwierzęta. Dzikie pustkowia i gęsto zaludnione przestrzenie. Wszystkie strony świata i wszystkie pory roku. Przypomniała mi się rozmowa z ojcem i jego pytanie: „Co chciałbyś robić w życiu?”. Wydało mi się właśnie, że znalazłem odpowiedź. Chcę to wszystko zobaczyć. Muszę znaleźć jakiś sprytny zawód, który mi to umożliwi. A najpierw sprytnie studia.

Obejrzałem zdjęcia ze cztery razy, ostatni raz przy świetle latarni. I ani przez moment w trakcie oglądania nie pomyślałem o Kaśce! Ani o jej chłopaku. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero w autobusie. Nie wiedziałem, czy dziewczyny jeszcze wkuwają angielski, starałem się więc nie wrócić za wcześnie. Unikanie jej wydało mi się na razie jedynym możliwym scenariuszem.